№ 48.

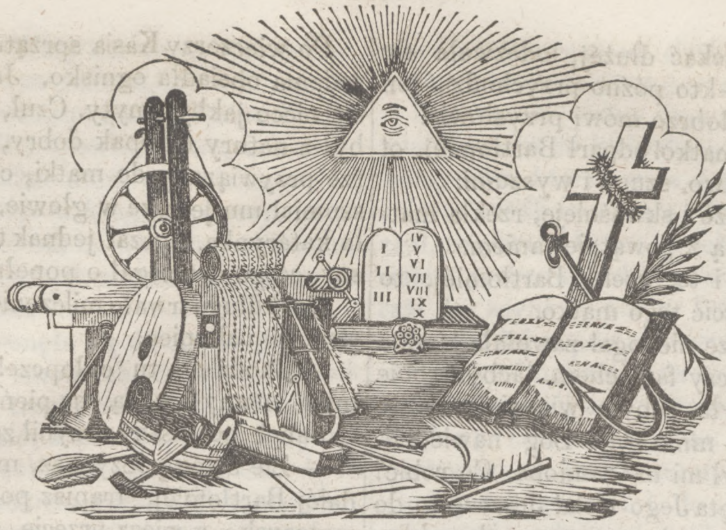
Warszawa

Dnia 18 (30) Listopada

1856.

Niedziela

1sza ADWENTU.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80 półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„*Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prosimy Cię, Panie! okaż moc Twoję i przybądź do nas, abyśmy od bliskich niebezpieczeństw, na jakie wystawiają nas grzechy nasze, za Twoją obroną wyrwani, a za Twą pomocą wybawieni byli. (Modlitwa kościelna na niedzielę 1szą Adwentu).

Od Redakcji Czytelni Niedzielnéj.

Czytelnia Niedzielna, pismo nasze tygodniowe, przeznaczone głównie dla klass rzemieślniczych i w ogóle pracujących, dobiega roku swego istnienia. W roku bieżącym Redakcya starała się objąć w Czytelni to, co w pierwiastkowym Prospekcie zapowiedzianem było; na przyszłość zaś główne usiłowanie zwróci na ulepszenie i rozwinięcie treści wewnętrznéj rzeczonego pisma. Czytelnia bowiem niedzielna i na rok przyszły w tym samym formacie, zakresie i cenie wychodzić będzie.

Prenumerata jéj wynosi:

w Warszawie rocznie	Rs.	1	kop.	80
— półrocznie	—		ks.	90
— kwartalnie	—		ks.	45
— miesięcznie	—		ks.	15

Na Prowincyi i *w Cesarstwie* Rubli sr. 2 rocznie, a z kopertami Rs. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko Rsr. 2 rocznie, którą to opłatę w takim razie rzeczone Redakcye przyjmować będą.

Raczą przeto Szanowni Prenumeratorowie, mianowicie na prowincyi zamieszkali, wcześniéj się zapisywać, aby uniknąć opóźnienia w otrzymywaniu Czytelni Niedzielnéj.

Pierwsze Towarzystwo Wstrzemięźliwości.

Było to w niedzielę Zapustną.— W ubogiéj ale czystéj izdebce staréj Maciejowéj, wdowy po zmarłym oddawna mularzu, ogień suty płonął na kominie. Koło ognia siedział na dębowéj ławie stary Bartłomiéj, krewniak nieboszczyka, człowiek stateczny i bywały, co z niejednego pieca chleb jadał, nie jedno widział i rozważał na świecie, a zakon Boży wypisany miał w sercu. Maciejowa z córką Kasią, rumianą jak jagoda, czyniła przyrządy do wieczerzy. Z całéj rodziny brakło tylko Janka Ślusarczyka, dwudziestoletniego syna Maciejowéj.

Matka niespokojnem okiem oglądała się na drzwi ustawicznie, co chwila przytykała głowę do szyby, ale na wąskiéj uliczce pusto było— i zdaleka tylko dolatała wrzawa z narożnego szynku— połączona z wesołem graniem kataryńki.

Rozmowa jakoś nie szła, stary Bartłomiéj dobywał co chwila tabakierkę brzozową z kieszeni, zażywał sam, czasem poczęstował Maciejową, ale nikt nic nie mówił—słowa jakoś nie wybiegały na usta, bo frasunek leżał w sercach wszystkich.

Wieczerza była wreszcie gotowa—Kasia nakryła stolik czystą bielizną, Maciejowa odstawiła od ognia garnek z kartoflami, okrasiła je słoniną, wyłożyła na glinianą misę, na drugą zaś wylała tatarczane kluski z polewką.— Woń przysmażanéj cebuli rozeszła się po izdebce. Wszyscy przeżegnawszy się po Bogu, obsiedli stolik i zabrali się do wieczerzy.

—Trudnoć już czekać dłużéj, odezwała się smutno Maciejowa—kto późno przychodzi, ten sam sobie szkodzi, dobrze mówi przysłowie.

—Nie frasuj się matko! odparł Bartłomiej, ot zwyczajnie młode piwo, szumi i wyszumi.

—Bywa czasem, że i skwaśnieje, rzekła matka, poruszając głową z powątpiewaniem.

—Prawda, bywa i to, rzekł Bartłomiéj, to też nietrzeba dopuścić tego matko.

—A cóż ja poradzę nieboga! zawołała biedna kobieta, ocierając oczy fartuchem, jaćbym sobie krwi własnéj utoczyła, żebym wiedziała, że to pomoże! Oj, ciężko mnie Pan Bóg nawiedził, twardy krzyż włożył mi na ramiona, Co robić? niech się dzieje święta Jego wola! Jeszcze to do końca zeszłego roku szło nam wszystko składnie i po Bogu— życie wiło nam się jakby z płatka, wszystkie sąsiadki i znajome zazdrościły mi doli. Aż tu w zapusty jakby uciął. Janek wdał się w niedobre towarzystwo, zaczął często gęsto zachodzić do szynku, a jak raz zakosztował złego— tak też teraz niema końca ani miary. Mój Ty Boże! jak ja się to dawniéj cieszyłam na każdą niedzielę i święto. Cały tydzień znosiło się biedę, i pracowało z ochoczem sercem, byleby zato w dzionek Boży nacieszyć się i nagadać z dzieciakami przy ciepłym kominie. I długo było tej pociechy,— aż oto nareszcie złe się przyplątało, i bruździ, a odczepić się nie chce.

—Nie upadaj tak naduchu, matko, rzekł Bartłomiéj,— przeżyłaś żywot poczciwie, to cię Bóg nie opuści, wszystko jeszcze będzie dobrze, a złe samo rozbije się o Bożą mękę.

Gdy domawiał tych słów, ucho matki posłyszało odgłos kroków w oddaleniu. Niebawem też i drzwi się otworzyły, a Janek wszedł do izdebki. Odzież jego była w nieładzie, chustka krzywo zawiązana na szyi, zpod czapki na bakier przechylonéj, wysuwały się potargane włosy,—twarz płonęła nazbyt jaskrawym rumieńcem.

Wszedł Janek trochę zawadjacko do izdebki, ale spojrzawszy zpod oka na smutną i milczącą matkę, na zasępioną Kasię, i pochmurzonego Bartłomieja, stracił jakoś fantazyę, zapomniał języka, nie wiedząc, jak to mówią, z któréj beczki zacząć, zdjął tylko czapkę nieśmiało, rozgarnął włosy ręką, na dany znak przez matkę zbliżył się do stolika, usiadł cicho jak trusia, i po trochu jął się posilać wieczerzą.

Po wieczerzy Kasia sprzątnęła misy i talerze, rodzina obsiadła ognisko, Janek tylko usunął się nieco jakby zmyty. Czuł, że źle zrobił, a że był z natury chłopak dobry, sumienny i szczerze przywiązany do matki, chociaż więc trunek szumiał mu jeszcze w głowie, a wuszach brzmiała katarynka, słyszał jednak tajemny głos w duszy, co go ostrzegał o popełnionéj winie.

Dość długo trwało milczenie. Bartłomiéj przerwał je nakoniec.

—Chodź no tu chłopcze! rzekł, siadaj przy mnie, mamy z sobą na pieńku.

Janek posłuszny uczynił zadość woli starego.

—Źle sobie poczynasz, mój kochany, mówił daléj Bartłomiéj, trapisz pożal się Boże biedne matczysko, a wiesz przecie, że Pan Bóg nie puści tego płazem. Wszedłeś na śliską drogę, a pamiętaj, że tak w złem jak i w dobrem pierwszy krok najwięcéj znaczy. Jeśli się nie powstrzymasz w samą porę, spadniesz na łeb na szyję, i zginiesz jak ruda mysz, kiedy wpadnie w kocie pazury. Strzeż się więc, mój Janku, nie zaprzedawaj złemu duszy, bo ci ją Bóg dał na obraz i podobieństwo swoje.

Janek skłonił się pokornie do kolan Bartłomieja.

—Przeproś Matkę, mówił stary, boś ją ciężko obraził, pamiętaj, że każda łza rodzicielska, pada jak ukrop na duszę złych dzieci i o pomstę woła do nieba. Czcij ojca i matkę twoję, niedarmo uczy czwarte przykazanie, a kto go nie spełni, ten nawzajem nie będzie miał pociechy z własnych dzieci.

Janek przejęty serdecznym żalem, upadł jak długi do nóg Maciejowéj, poczciwa kobieta zapłakała rzewnie, podniosła syna, i przycisnęła jego głowę do gorącéj macierzyńskiéj piersi.

—Nie gniewajcie się, droga matko! zawołał Janek, roztrzeźwiony do reszty głębokiem wzruszeniem. Jak mi Bóg miły, będę się chciał poprawić. Już ze mnie nigdy nie będziecie mieli zgryzoty, ale jedno radość i pociechę. Bogdajem ręce i nogi połamał, jeżeli kiedy zajrzę jeszcze do tego przeklętego szynku.— Żeby mnie złe nie nie wiem jak kusiło, odepchnę je precz od siebie.

—Miéj tylko silną wolę, mój synu, a pokusa cię nie zmoże, ale sama ucieknie przed tobą, rzekła matka z rozjaśnionem okiem.

—Święte słowa, dodał stary Bartłomiéj — mocna wola, a toć to niechybna zapora przeciw

wszelkiemu złemu. Wolą hartowną jak żelazo, człowiek cudów nawet dokona,bez woli zaś,staje się równym bezrozumnemu bydlęciu. Posłuchajcie oto moi mili! a opowiem wam, do czego silna wola doprowadzić może człowieka.— Mój panisko, co to zawsze w księgach ślęczy, istnie jakby mól, powiadał mi, co wyczytał niedawno. A rzecz to prawdziwa jak słońce na niebie, nie żaden wymysł ludzki.

Maciejowa przysunęła się do ognia, przyrzuciła na komin parę smolnych drewek.—Janek usiadł przy matce, trochę ośmielony, Kasia umieściła się na niskim stołeczku, stary zażył tabaki dla lepszego zebrania myśli. Cicho było w izdebce jakby makiem zasiał. Wszyscy nadstawili ciekawie uszu, na słowa poczciwego Bartłomieja.

—Owóż mówił on, było to niedawnym czasem, ale gdzieś daleko daleko za morzami, pono aż w Ameryce na drugiéj stronie ziemi, bo wiadomo wam przecie,że ziemia okrągła,nie przymierzając,jakby wielkie jabłko. W dużem jednėm mieście (1), nie pomnę już nazwiska, (bo te zamorskie kraje i miasta cudacznie się jakoś nazywają),w wielkiem mówię mieście mieszkała sobie poczciwa rodzina wyrobników. Pracowali po Bogu na kęs chleba, i Bog im też błogosławił we wszystkiem. Roboty było dosyć, bo to w tym kraju więcéj, jak mówią, ziemi niż ludzi, nie brakło więc i dostatku. Aż nakoniec i złe się przyplątało, bo złe czycha zawsze, i byle się człowiek nie strzegł, i pozwolił mu przystępu, to go wnet opanuje, że potem niełatwo mu przychodzi oswobodzić się z jego sideł. Rodzina wyrobników naszych,nie pomnę już nazwiska, składała się z ojca, matki, dziesięcioletniéj dziewczynki Anusi, i kilkorga młodszych dzieci. Ojciec z razu statkował, ale pomału pociągniony złym przykładem, zaczął od czasu do czasu zaglądać do pobliskiego szynku. Z początku bywał tam jedynie tylko w niedzielę, potem gdy się rozhulał w dzień świąteczny, nie sporo mu było wracać w poniedziałek do roboty, aż nareszcie przyszło do tego, że wszystkie dnie w tygodniu, czy to piątek, czy świątek, trawił przy kieliszku i butelce, nie myśląc o tem, że w domu głód i nędza, że biedne żonisko pourabiało sobie ręce od ciężkiéj pracy, aby wystarczyć na codzienne potrzeby.

Nie on sam jeden trawił życie w szynku, miał bowiem do kieliszka pięciu zawołanych towarzyszów, którzy wraz z nim grzeszne i próżniacze wiedli rzemiosło. Stary nasz wyrobnik czuł, że obraża Boga, przeklinał też drugich i siebie, przyrzekł sobie poprawę, ale jak raz zajrzał do szynku, nałóg brał górę nad nim, i wszelkie dobre postanowienia na nic się nie przydały. Powracał zawsze do domu w późną noc, najczęściéj z podbitem okiem, albo rozciętą głową. Zdarzało się, że idąc omackiem po wschodach na poddasze, upadł nieraz jak długi, i byłby tak przeleżał do rana, jak nieboskie stworzenie, gdyby nie mała Anusia. Ale poczciwe dziewczątko nigdy nie poszło spać, dopóki ojciec nie powrócił—gdy nieboga usłyszała, że idzie, wychodziła naprzeciwko niego i ostrożnie prowadziła go po wschodach; jeżeli zaś zdarzyło się, że upadł, a ona nie mogła go podźwignąć, to przynajmniéj przynosiła mu płaszcz i poduszkę na wschody, otuliła go ciepło, i jak dobra córka, przesiedziała przy nim do rana. Matka zrazu płakała, lamentowała, zaklinała męża, aby się ustatkował, ale przekonawszy się, że słowa jéj padają próżno, jakby groch na ścianę, ofiarowała wszystko Panu Bogu, pracowała na chleb dla dzieci, a o męża poczęła dbać niewiele. Anusia tylko strzegła ojca, jakby źrenicę oka. Jak tylko nasz wyrobnik obudził się o świcie, natychmiast posyłał córkę po wódkę do szynku. Płakała biedaczka, padała ojcu do nóg, ale gdy to wszystko nie pomagało, jak posłuszne dziecko, musiało czynić zadość jego woli.

Nadeszła zima, najokropniejsza nędza dała się we znaki biednéj rodzinie. Jednego poranku nasz wyrobnik chory na ciele, skołatany na duszy, ocknął się ze snu, i niewiele myśląc, rozkazał iść Anusi po wódkę. Dziewczątko jakby natchnione łaską Bożą, nie chciała posłuchać ojca w żaden sposób.

— Mój ojcze! mówiła, szlochając nieboga, wszystko zawsze zrobię, co każesz, ale dziś nie pójdę do szynku. Coś mi wyraźnie szepcze do ucha, żebym tam nie chodziła.

Rozgniewany ojciec, zerwał się co tchu z łóżka, zarzucił płaszcz na ramiona, i zataczając się, wyszedł z izby. Zaszedłszy do szynku, zastał już siedzących u stołu towarzyszów. Przed ka-

(1) Miasto o którem mowa, leży w Stanach Zjednoczonych Ameryki.—Nazywa się *Baltimore*. Rzecz cała prawdziwa, zdarzyła się przed kilkunastą laty. Główny bohater naszéj powieści nazywał się Hawkins.

żdym stała pełna butelka i nalany kieliszek. Wtem jeden z nich jakby nagle oświecony Bożem światłem, zacisnął rękę, uderzył pięścią o stół, aż zaszczęknęły kieliszki i butelki, i zawołał na cały głos:

— Moi bracia! powiedzcie sami, czy my nie szaleni, potrzebne też to rzeczy przesiadywać tu, jak nieboskie stworzenia? niszczyć zdrowie napróżno, żony i dzieci wystawiać na głód i nędzę. I na co to wszystko? oto chyba na to, żeby tuczyć tego upaśnego wieprza. To mówiąc wskazał ręką na szynkarza, co stał zdziwiony za szynkwasem.

—Prawda jak Bóg Bogiem, prawda, pwtórzyli wszyscy.

—Słuchajcie oto, dodał pierwszy, namyśliwszy się chwilę. — Wszyscy ilu nas tu jest, przysięgnijmy sobie przed Bogiem, że żaden z nas zacząwszy od dziś dnia, nie skosztuje wódki. Nie pomrzemy bez niéj zaprawdę, a przynajmniéj nie będziemy mieli na sumieniu naszych niewiast i dzieci.

—Dobrze mówi — odezwali się wszyscy; szynkarz tylko skrzywił się jakoś i zafrasował widocznie.

Owóż powiadam wam, ciągnął stary Bartłomiéj— wszyscy, ilu ich było zobowiązali się przysięgą, że odtąd wiernie zachowają wstrzemięźliwość od trunków. A że to byli ludzie pismienni, bo tam w zamorskich krajach lada kto podobno pisać umie, przynieśli sobie papieru— spisali ugodę, i poręczyli sobie na piśmie, że odtąd póki życia nie skosztują, ani wódki, ani żadnego trunku. Podpisali się wszyscy, i nasz wywyrobnik poszedł w ślady za drugimi.

—Miły Boże, zawołała Maciejowa, jakaż to była radość dla biednéj żony, i téj Anusi niebogi!

—Ledwie że wszedł do domu, ciągnął Bartłomiéj, padł na ławę, a łzy jak groch pobiegły mu po twarzy. Żona i Anusia przyskoczyły niespokojnie do niego. Uspokoiwszy się trochę, opowiedział im wszystko, co zaszło.

—Bądźcie dobréj myśli, rzekł, podpisałem umowę, i dotrzymam jéj wiernie. Będę znowu pracował jak dawniéj, a Bóg ześle łaskę i błogosławieństwo w nasze progi.

Anusia padła do nóg ojcu,— uradowana matka, dziękowała Bogu ze łzami.

I czy też dotrzymał słowa? zapytała Maciejowa z niedowierzaniem.

Nietylko że dotrzymał, odparł Bartłomiéj, ale po kilku latach, gdy zapewnił stały byt rodzinie, zmówiwszy się z pięcią towarzyszami od kieliszka, co równie jak i on, porządne odtąd wiedli życie, postanowił razem z nimi obchodzić wielkie miasta w swoim kraju—i namawiać zawołanych pijaków, aby porzucali haniebny nałóg— i poprzysięgali wstrzemięźliwość. Każdy z nich w obec ludzi spowiadał się z ciężkich grzechów, wszyscy głosili, jak łaska Boża spoczęła nad nimi, i skłoniła ich do poprawy. A trudy ich nie były marne, bo ludzie przyjmowali do serca ich słowo, i jakby muchy na lep, tak lgnęli do nich, skłaniając chęci ku dobremu. Owóż to, moi mili, tym sposobem zawiązało się pierwsze towarzystwo wstrzemięźliwości, i z Ameryki rozeszło się po całym świecie. Tysiące zawołanych pijaków wyrzekło się kieliszka, i dziś jak Bóg przykazał, żyje w pracy i uczciwości. Pan Bóg dał człowiekowi rozum i wolę, odróżniając go tem samem od bezrozumnych zwierząt, niechże więc człowiek umie użyć téj woli na poskromienie się w złem, i wyzwolenie własnéj duszy, z zastawionych na nią sideł. Gdyby człowiek nie walczył, nie miałby też i zasługi.— Tak też i ty Janku! walcz sam z sobą i wytrwaj w dobrem, a zjednasz sobie błogosławieństwo matki, i łaskę dobrego Boga w Niebie.

Janek upadł do nóg Bartłomiejowi i poprzysiągł, że nic odtąd nie zwróci go z dobréj drogi. Stara Maciejowa ze łzami pobłogosławiła syna, Kasia płacząc z radości, przyrzuciła na ogień kilka drzazek.— Płomień jasno oświecił białe ściany izdebki, i ochocza pogadanka późno się w noc przeciągnęła.

Pszczoła.

Pszczoła w stanie dzikim żyje w lasach, gdzie zebrana w wielkie stada czyli roje, obiera sobie grube wypruchniałe sosny, dęby, topole, lipy i rozpadliny w skałach, murach, lub jamy w ziemi i w nich urządza sobie siedzibę. Tam to stawia budowle podziwienia godne, i od roku do roku utrzymuje zapasy żywności.

Czy to dziko żyjące, czy w barciach lub ulach przez ludzi chowane pszczoły dzielą się na:

a) *Matkę czyli królowę*, która wyjąwszy czas rojenia, jest tylko jedna w ulu; jest ona o pół dłuższa od zwyczajnych pszczół roboczych, ale skrzydła ma od nich niewiększe, dlaczego z trudnością latać jéj przychodzi; na nogach nie ma ani koszyków ani szczotek, z czego wnosić można, iż wcale nie trudni się zbieraniem pyłku kwiatowego; opatrzona jest nadto żądłem; odróżnia się także od innych jaśniejszą barwą, mianowicie nóg i tułowiu, ona tylko nosi jaja, z których się legną wszystkie trzy gatunki pszczół. Drugi gatunek stanowią:

b) *Samce czyli trutnie*, których liczba w jednym ulu do 2000 dochodzi. Rozpoznać je można po tem, że są większe, z tułowiem grubo okrągłym, w tyle kosmatym, tępo zakończonym, skrzydła mają dłuższe, całe ciało pokrywające, brakuje im zaś żądła, jako też koszyków i szczotek na nogach. Pokazują się one w rojach na wiosnę, a z końcem lata wypędzane z ula lub zagryzane bywają przez trzeci gatunek pszczół, zwany:

c) *Robocze*, które stanowią największą liczbę w roju, są one znacznie od dwóch poprzedzających gatunków mniejsze, zgrabniejsze i zwinniejsze, są to samice, których płeć niedostatecznie jest rozwinięta. Do znoszenia do ula wosku, miodu i pyłu kwiatowego, opatrzone są na udach nóg tylnych koszykami, czyli dołkami, włosem delikatnym otoczonemi, a na stopach szczoteczkami do obmiatania z siebie i kwiatów pyłku kwiatowego; opatrzone są oraz żądłem, które w końcu jest zadzierzyste; obrawszy stosowne miejsca, ulepiają z wosku liczne komórki, w które składają zapasy miodu.

Matka, inaczéj królową zwana, znosi na wiosnę znaczną liczbę jaj, z tych czwartego lub piątego dnia wylęgają się gąsienice, które w pięciu lub sześciu dniach okrywają się błonkowatą przędzą, i zamieniają w poczwarki; wówczas pszczoły robocze zalepiają komórki, w których się te poczwarki znajdują, denkiem woskowem. Tak przykryte, odbywszy przemiany, wygryzają się same dwudziestego lub dwudziestego pierwszego dnia od zniesienia jaja.

Pszczoły mnożą się przez całą ciepłą porę roku; gdy z wiosny licznie się rój mnoży, albo gdy się urodzi druga matka, wówczas dzielą się wszystkie na dwie gromady, z których jedna wydala się z ula, i obiera sobie inne miejsce. W nowym ulu zwykle wszystkie szpary zalepiają się balsamiczną massą, z pączków topoli i innych drzew zebraną, *zaklepem* zwaną. —Nagromadziwszy żywności na zimę, i po usunięciu z ula trutniów, skupiają się w górze między plastrami, i mało się poruszając, przykrą tę porę roku przebywają.

Produktami, które nam pszczoły wydają, są:

a) *Miód* otrzymuje się albo przez samowolne wyciekanie z plastrów z ula wyjętych, i wówczas jest prawie zupełnie biały, smaku czysto słodkiego, a przez stanie staje się ziarnisty; albo przez wytapianie, a wtedy bywa ciemniejszego koloru i mniéj przyjemnego smaku. Na dobroć jednak miodu wpływają znakomicie rośliny, z których go pszczoły zbierały. Najwięcéj u nas poszukiwany jest miód, który pszczoły z drzew lipowych zbierają, nazywany lipcem.

Różne są sposoby oczyszczania miodu, do najpraktyczniejszych jednak policzony być może następujący; ośm funtów surowego miodu rozcieńcza się połową wody i gotuje z miazgą (przyrządzoną przez rozkłócenie arkusza białéj bibuły w wodzie), dopóki ta zupełnie się na włókienka nie rozdzieli. Gdy zacznie stygnąć, wlać massę w worek wełniany spiczasty, z którego miód klarowny wycieknie, następnie przy wolnym ogniu odparować do pożądanéj gęstości.

Różne są zastosowania użyteczności miodu: już to samego bezpośrednio do słodzenia potraw, napojów, już też przy wyrabianiu pierników i innych słodkich przetworów; w niektórych krajach, mianowicie w Mołdawii, posiadają sposoby doprowadzenia miodu do twardości najlepszego cukru.

Zafałszowanie miodu mąką, łatwo poznać po nierozpuszczalności w zimnéj wodzie, oraz tworzeniu osadu na dnie naczynia.

b) *Wosk* pozostaje po oddzieleniu miodu z plastra, zbierają go pszczoły z pyłu kwiatów, chwytając maleńkie ziarna środkowemi wstawami tylnych nóg, a następnie pożerają go w ulu, część jednę obracając na pożywienie, resztę zaś wysączają jako wosk zpomiędzy sześciu pierścieni tylnéj części tułowiu, i z niéj formują sześcienne komórki, na skład miodu przeznaczone.

W celu wybielenia, wylewają wosk po stopieniu, cienko na blaty, i polany wodą wystawiają na działanie słońca.

Użyteczność wosku jest rozliczna, wchodzi on w skład rozmaitych mass, maści, plastrów, i t. p., z niego mamy wyrabiane świece i stoczki; któż wreszcie nie podziwiał owych sztucznych z niego odlewów, tak dzielnie naśladujących naturę?

Dla dokładnego wyjaśnienia, jak znakomite korzyści przynieść może włościaninowi pielęgnowanie pszczół, załącza się poniżéj rachunek ile ze sprzedaży samego przychówku, można co rok zebrać pieniędzy.

Lata	Początkowy zakład	Przybywa przychówku		Wartość		
	Pszczół uli	Pszczół uli	Pasiek	Rub. sr.	Złp. i groszy	
1	100	—	—	—	—	—
2	100	50	—	350	2,333	10
3	150	150	—	1,050	7,000	—
4	300	300	1	2,100	14,000	—
5	600	1,200	4	8.400	56,000	—
6	1,200	2,400	8	16,800	112,000	—
7	2,400	4,800	16	33,600	224,000	—
8	4,800	9,600	32	67,200	448.000	—
9	9,600	19,200	64	134,400	896.000	—
10	19,200	38,400	128	268,800	1,792,000	—

N. B. w niniejszéj tabelce wartość ula oznaczono Rsr. 7.

Dla uzupełnienia powyższego rachunku, należałoby się gorliwie zająć wyznaczeniem umiarkowanéj proporcyi: ile jeden średni ul wydaje miodu? a to celem obliczenia korzyści, jaką co rok osiągnąćby można ze sprzedaży tego produktu.

Podług doświadczeń Jana Riem, jeden ul średnio obsadzony, ma potrzebować na wyżywienie zimowe od 26 do 29 funtów miodu, a zatem tyle przynajmniéj w jednym średnim ulu musi się miodu znajdować.— Podług doświadczeń P. Ehrenfels, który brał miarę z własnych pod Wiedniem założonych pasiek, z jednego średniej dobroci ula, 50 funtów otrzymać można miodu.

Sławny Thier utrzymuje, iż dobry ul wydać może miodu kamieni berlińskich cztery.

Zaś podług mych własnych doświadczeń, ul mający pszczoły w dobrym stanie, utrzymywane w miejscu w paszę dla nich obfitem, powinien wydać od 21 do 32 funtów miodu wagi krajowéj.

Przypuściwszy więc, że z pasieki, która podług rachunku w czwartym roku liczy pszczół uli 300, można wychować drugie tyle uli, któreby już na dalszy przychowek obracaneby nie były, aleby pracowały na zbiór samego tylko miodu, niechby tylko każdy ul wydał po 2 garnce miodu z woskiem zmieszanego, to już 300 uli wyda garncy 600; a gdy w kraju naszym tak w Warszawie jak i innych znaczniejszych miastach piernikarze i fabrykanci świec woskowych, miód tylko zmieszany z woskiem kupują w znacznych przystawach: i za garniec płacą średnio po złp. 9, przeto za miodu garncy 600 wpłynie summa złp. 5,400; czyli rsr. 810.—Otóż tyle ze sprzedaży samego miodu i wosku corocznego dochodu mieć można w czwartym roku z jednéj pasieki, która już 300 uli stałego inwentarza liczyć będzie; a gdy z postępem czasu wydoskonalą machiny do odłączenia miodu od wosku, oraz sposoby wyrabiania miodu na trunki, a mianowicie przekształcenia go na cukier, natenczas z tego rodzaju płodów, bogactwo krajowe znacznie pomnożone byćby mogło.

Gdyby każdy ziemianin chciał zaprowadzić pszczolnictwo w swéj włości, natenczas niejednokrotnie mniéjby uczuł te plagi, jakie mianowicie w ostatnich czasach, podobało się Opatrzności zsyłać na rolników, jakoto: księgosusz, gradobicie i rozmaite zarazy ziemne; fundusz z pszczół uzbierany, zamieniony na listy zastawne lub inne procentowe papiery, w razie nieforutnnego wypadku, stanowiłby zaradczy kapitał na zakupienie inwentarza lub czego innego; potrzeba zaś miodu w kraju i za granicą nigdy nie ustanie.

——

Piorun.

—

Dnia 22 sierpnia 1856 r. w dzień Oktawy Wniebowzięcia Najświętszéj Maryi Panny, około wpół do szóstéj po południu, od strony południowéj poczęła wznosić się chmura deszczowa i zwolna posuwała się coraz wyżéj; potrzykroć w znacznéj odległości dał się słyszeć grzmot ponury i głuchy. Chmura postępowała wprost nad miasto Łomżę z przezroczystym lecz

drobnym i spokojnym deszczem. Byłem pod tenczas przy ludziach pracujących w ogrodzie, i kiedy deszcz zaczął padać, kazałem schronić się im do stodół, a sam poszedłem do swego mieszkania. O kwadrans na siódmą nagle spostrzegłem wielki połysk światła, i w téjże saméj chwili dał się słyszeć odgłos piorunowy, chrapowatością swoją zapewniający, że blisko mnie uderzył. Uczułem raptowne wstrząśnienie i nie wątpiłem bynajmniej o uderzeniu piorunu, a nawet zdawało mi się, że to w ogrodzie obok klasztoru i mego mieszkania nastąpiło. Pomimo trwogi, nie straciłem przecież przytomności; a ponieważ niedaleko znajdowały się zabudowania gumienne pokryte słomą, a kościół i klasztor o piętrze, chociaż kryte dachówką, lecz drzewiane i już wiekiem spruchniałe, pilnie więc uważałem, czy w którym punkcie ogień od pioruna nie powstał. Zapewniwszy się, że gumna są bezpieczne, począłem być niespokojny o klasztor tém bardziéj, że piorun, jak mi się zdawało, bliżéj niego uderzył. Poszedłem więc do furty i zadzwoniłem, chcąc się przekonać, czy w klasztorze wypadek jaki nie nastąpił. Ksieni klasztoru będąca bliżéj furty, otworzyła ją; uważałem na jéj twarzy pewne zmieszanie, i wniosłem ztąd, że zaszedł jakiś wypadek, lecz ona odezwała się „Piorun uderzył w nas ale dzięki Panu Bogu, nic się złego nie stało.“ Chociaż więc byłem uspokojony, chciałem jednak sam wiedzieć szczegóły wypadku, i przekonać się, czyli gdzie w klasztorze nie zakradł się ogień. Po obejrzeniu miejsc, któremi przebiegał piorun, nigdzie chwała Bogu! nie znalazłem ognia i nikogo zabitego, owszem wszystkie zakonnice i służące zastałem w jakiéjś dziwnéj wesołości.

Że pioruny biją i palą, to nie ma nic nowego, ale, że uderzając, pomimo swéj własności, nie czynią żadnéj szkody, w tem uwielbiam opiekę Wszechmocnego Boga, a będąc tego zdarzenia naocznym świadkiem, nie powinienem go pomijać milczeniem; pozwólcie więc, że opiszę dalsze szczegóły.

Piorun istotnie uderzył w mieście Łomży w klasztor panien Benedyktynek, będący o 45 łokci od mojego mieszkania. (*) W pierwszéj chwili tego wypadku nie zwracałem uwagi, coby mogło dać powód do ściągnienia piorunu i którędy ten do klasztoru wpadł; byłem bowiem i sam przerażony i niepewny, czyli kto nie został zabitym, i czy gdzie ogień się nie zajął. Przekonawszy się, że nie ma żadnéj szkody, w duchu dziękowałem Bogu za Jego opiekę, w tak widocznem i oczywistem niebezpieczeństwie.

Następnego dnia chcąc się dokładniéj przekonać o szczegółach, poszedłem obejrzeć też same miejsca. W dymnikach, w całym dachu i na poddaszu, nie mogłem znaleść żadnego śladu, dostrzegłem tylko w jednéj dachówce najwyższego szaru pod gąsiorami, otwór świeżo zrobiony w kształcie podłużnym. Niewątpliwą jest rzeczą, że ten otwór zrobił piorun; lecz jaki ztąd wziął kierunek? niema na poddaszu żadnego znaku; dopiero w jednéj celi na piętrze, w rogu od ogrodu, w suficie przy saméj poprzecznéj ścianie, znalazłem wypalony otwór, i jak uważam, piorun wpadłszy przez dach, ową dachówką, wziąwszy kierunek w linii pochyłéj długości łokci $35\frac{1}{4}$, przeleciał przez poddasze, i i wpadł w załomek dachu, gdzie jest osadzona rynna cynkowa; téj bynajmniéj nie uszkodziwszy, spłynął na piętro do kapitularza po ścianie, robiąc na niéj znaki wypalenia z góry na dół, łokieć jeden cali 14 długości. U łóżka stojącego przy téj ścianie jednę nogę jesionową w drobne trzaski porozdzierał wzdłuż; daléj niema żadnego znaku w kapitularzu, gdzieby się podział, tylko w prostéj linii w oknie, będącém w przeciwnéj ścianie, w szybie, naprzeciw znaków wysmalonych, zrobił zupełnie takiż sam otwór, jak na dachu w dachówce, jak gdyby scyzorykiem wykroił. Wnosićby można, że w którymś punkcie podzielił się, i część tym otworem wypadła za okno, na ścianie jednak zewnątrz pod oknem niema żadnego śladu. W innych celach na piętrze i w kapitularzu oprócz wyżéj wyrażonych, niema żadnych znaków. Dopiero na dole w refektarzu pod kapitularzem, znów pokazał się w linii pionowéj od punktu opalenia ściany w kapitularzu. Nie można jednak wyśledzić z pewnością, jak przeleciał przez sufit z kapitularza do refektarza, gdyż w górnéj podłodze niema żadnego znaku, chyba jak uważam, środkiem ściany przez spruchniałe ciesie, ponieważ w refektarzu pod sufitem od średnicy ciesi wypalił dziurę, i tędy wpadł do refektarza, po ścianie w linii uko-

(*) Zdarzenie to opowiada proboszcz miejscowy.

śnéj przebiegając. Tu na żelaznym gwoździku był zawieszony obraz olejno malowany Najświętszéj Maryi Panny Hodyszewskiéj. Nie tykając gwoździa od górnéj ramy, obraz przeszył, część od ramy do korony także tylko olejno malowanéj rozdarł, nadpalił, część korony i część obrazu aż do dolnéj ramy poczernił, nie tykając zupełnie Twarzy; szkło będące w ramach długości łokieć jeden cali 6, szerokości łokieć jeden, pogruchotał i rozrzucił je w drobnych kawałkach po refektarzu. Ztąd bez śladu przeniósł się do szafki stojącéj w rogu refektarza od strony ogrodu, zamkniętéj na klucz, w któréj były niektóre zioła domowe i różne flaszeczki z extraktem ziół, jako domowa apteczka. Zamek oddarł, drzwiczki otworzył, wszystkie szkła w drobne kawałki potłukł i takowe po całym refektarzu rozrzucił, w talerze nawet będące na stole ponasypywał, na imbrykn glinianym drut porozrywał, puszkę blaszaną i imbryk w kilku miejscach poczernił, pułkę jednę w szafce przeszył, i wypadłszy z szafki, zaraz przy téjże pomiędzy spojeniem podłogi, wypaliwszy otwór, wpadł do ziemi.

W chwili kiedy się to wszystko działo, dwie zakonnice złożone ciężką chorobą leżały; jedna w celi na piętrze, tylko łok. 8 $\frac{1}{2}$ od ściany oddzielającéj kapitularz, po któréj wędrował piorun; ta zeznaje, że prócz nagłego światła, nic więcéj nie widziała i nie słyszała, i że się bynajmniéj nie zlękła; być może skutkiem mocnego osłabienia. Druga znajdowała się w przeciwnym pawilonie klasztoru na dole, o jakie łokci 37, i ta utrzymuje, że jéj się zdawało, iż ją ktoś z łóżkiem w górę podrzucił. Na obudwóch jednak piorun nie zrobił szkodliwego wpływu, ani też pogorszył stanu ich słabości.

Nie jestże to Opatrzność Boga czuwająca nad swemi dziećmi! W refektarzu taż sama Opatrzność okazała się dziwnym i widocznym sposobem.

Ponieważ to była godzina wieczornego posiłku, wszystkie więc zakonnice, wyjąwszy dwie słabe, zgromadziły się do refektarza. Ksieni i jedenaście innych zakonnic, siedziały u stołu, a trzynasta podług ustaw zakonnych w czasie ich skromnego posiłku, czytała lekcye duchowne. Pod tę właśnie porę uderzył piorun, który tak dokazywał, a jak się pokazuje w największéj massie wpadł do refektarza.

Wszystko to bardzo krótko trwało, taki moment jakiego piorun do uderzenia potrzebuje, i ja przyszedłszy, nic więcéj nowego nie dostrzegłem; zastałem tylko pełno mocnego siarczanego odoru, podobnego jak kiedy w czasie upałów tłucze się kamienie, i szczątki dymu. Lecz i to co mi zaczęły mówić zakonnice, zasługuje również na uwagę.

Wszystkie jednozgodnie opowiadały, że widziały, jak na stół pomiędzy nie spadł ogień w kształcie dużéj kuli, a która uderzając niby o stół, pokazała się być spłaszczona i jakby od stołu odbita, w téjże saméj chwili, przeleciała nad ich głowami. Każda uczuła gorącość w głowie i wszystkie myślały, że im się głowy palą; kilka z nich słyszały świst przelatujący około uszu—dwie zaś sądząc, że się na nich ogień pali, uchylając się, upadły pod stół. W kuchni o 14 łokci od refektarza, było kilka dziewcząt, wszystkie padły jakby bez życia, jedna tylko staruszka spokojnie w swem miejscu dosiedziała.

Ze wszystkich jednak osób, dzięki Opatrzności Boga i opiece Najświętszéj Maryi Panny, żadna nie odebrała najmniejszego szwanku, prócz dwóch zakonnic, z których jedna dostała lekkiéj kontuzyi w połowę głowy, a druga w ręce; lecz i te dziś zupełnie są zdrowe.

Podobnyż wypadek miał miejsce w r. 1853, następnego dnia po uroczystości Wniebowzięcia Najświętszéj Maryi Panny, Patronki tego kościoła. — O drugiéj godzinie po południu, piorun uderzył w wieżę będącą nad chórem; wpadł do chóru pomiędzy zakonnice, które wszystkie wtenczas były w chórze i odmawiały godzinki o Niepokalanem Poczęciu Najświętszéj Panny.—Wszystkie popadały przerażone, wszystkie jednakże ocalone zostały; jedna tylko panienka, uczennica ze szkoły, któréj piorun na głowie część włosów osmalił, dostała kontuzyi, ale i ta w parę dni za łaską Pana Boga, zupełnie od niéj wolną została. Piorun wówczas wpadłszy przez wieżę, przeleciał chór i kościół, nie czyniąc nigdzie najmniejszego uszkodzenia i znikł przy wielkim ołtarzu.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 14 (26) listopada 1856 r.— Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*